



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok 1.

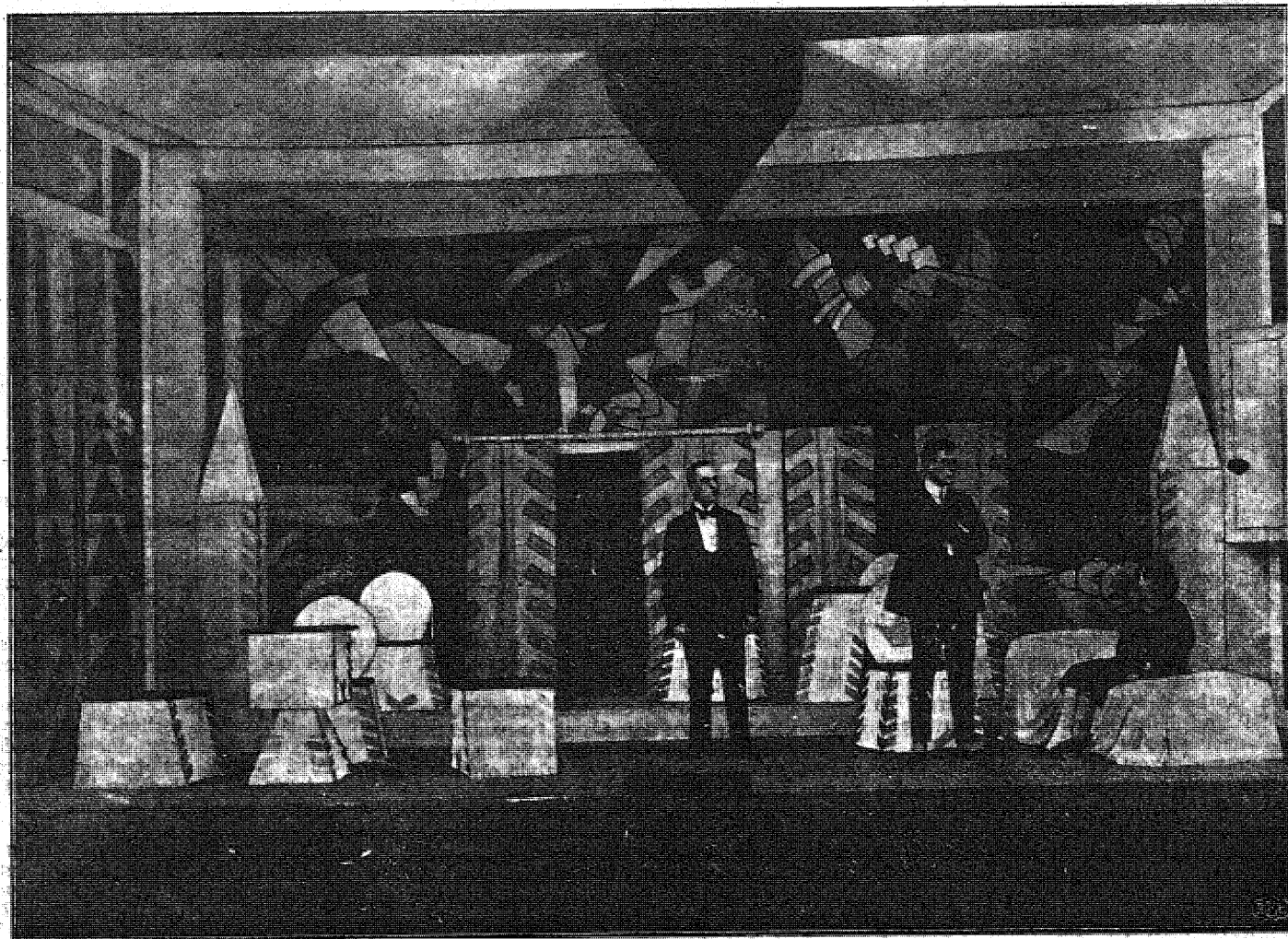
Ł ó d ź, 7 grudnia 1924 r.

Nr. 16.



„ACID ALIA”

komedja w 3 aktach Dariusza Niccodemi'ego w Teatrze Miejskim.



Kazimierz Fabisiak jako służący Dominik, Zygmunt Nowakowski w roli Filipa Carmi oraz Janina Morska — Bice.





Stanisław Dębicz jako Tytus Rosso w akcie I-szym.



Morska na tle oryginalnej modernistycznej dekoracji.



Morska i Dębicz w III-im akcie.

W OBRONIE ZABYTEKÓW.

Od wieków w gminnej powieści jedynie przywykliśmy widzieć „arkę przymierza między dawnymi i nowymi laty“ w której rażący czas i ludzie z dnia na dzień z pokolenia w pokolenie składają „myśli swych przedę i swych uczuć kwiaty“.

Od wieków przez wieszczów naszych najczystszy wypełniona złotem, arka ta była skarbcem z którego naród czerpał po woli i słodził lata swego pielgrzymstwa.

Bogactwem jej olśnieni sadziliśmy, że z pogromu pozostało nam tylko to, czego chciwość nie dostrzegła lub ogień nie strawił.

Dziś z chwilą posiadania samodzielności politycznej, wierzyć zaczynamy, że tak nie jest. Dziś wiemy, że czas ocalił nam „niejedno z malowanych dzieł“ że oprócz powieści gminnej wyniósł nam z topieli okrucichy wprawdzie, lecz tem droższe i cenniejsze — zabytki dawnej sztuki i kultury, że okrucichy te skrzętnie wyszukiwane są narówni z poezją żywym dokumentem trosk, potrzeb, uciążliwości i tęsknot minionych pokoleń, że silniej jeszcze wiążą przeszłość narodu z jego przyszłością a zasilane tem, co dzień dzisiejszy stwarza, składają się w swym całokształcie na największy skarb i klejnot każdego cywilizowanego narodu, na jego sztukę.

Kto miłuje swój kraj, miłuje jego przeszłość. Umiłowanie przeszłości narodowej budzi u nas nasi wielcy, nieśmiertelni wieszczowie.

Czemże są zabytki, jeśli nie widomymi znakami przeszłości?

Zabytki sztuki i kultury łączą przeszłość z przyszłością, świadczą o dziejach narodu, mówią nam o czynach przodków, ich życiu, dążeniu, upodobaniach.

Zabytki stanowią dorobek duchowy, są dowodami kultury narodowej i argumentami jej cech indywidualnych, źródłem wreszcie motywów do rozwoju sztuki oraz jednym z głównych środków wychowania w duchu narodowym.

Zabytki są pełnym wartości mieniem całego narodu. Ani jedno pokolenie niema prawa uważać siebie za bezwzględnie ich właściciela, gdyż jest tylko czasowym ich dyspozytariuszem.

Dlatego też troska o zachowanie dzieł sztuki rodzimej z epok ubiegłych, wypływająca zarówno z ukochania ziemi ojczyściej i jej wielkiej przeszłości, jak niemniej z wrodzonego duszy ludzkiej piękna, leży dziś na sercu każdemu społeczeństwu kulturalnemu.

Wśród narodów Zachodu oddawna już widzimy wszędzie dominującą zasadę: że obowiązkiem współczesnym jest, istnieją-

ce zabytki przekazać potomności w stanie o ile możliwości nieskażonym.

Więc i społeczeństwo polskie zasadę tę przyjąć musi — musi ochraniać swe zabytki przeszłości i troskliwą pieczę otoczyć.

Poginęły liczne zamki i pałace. Rody możne i dostojne utraciły tyle rzeczy cennych i pamiątkowych — dziś jeszcze sprze dają ich tak wiele na rynkach zagranicznych!

Poginęły kościoły. Lecz kościół, jako instytucja, stał widać gorliwiej na straży powierzonych jego pieczy dobra narodowego, gdyż wśród ocalałych z pogromów i burz dziejowych zabytków lwia część stanowią świątynie i przechowane w nich sprzety.

Kościół był starannym opiekunem pamiątek wieków minionych. Lecz z czasem zmieniły się warunki życiowe. Niezwykły przyrost ludności po parafiach wywołał w czasach ostatnich zwłaszcza potrzebę budowy świątyń nowych i powiększenia dawnych, które ginąc poczęły z szybkością zatrażająca. Pęd nowatorstwa, przeciwny tradycyjnemu konserwatyzmowi ludu, zapoczątkował usuwanie — zwykle potrzebą nieusprawiedliwione — starodawnych sprzętów artystycznych, zastępując ich nową, rzemieślniczą tandetą.

Nieuświadomienie społeczeństwa w dziedzinie opieki nad zabytkami odbiło się bra

Z życia Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Katolickiej.



Otwarcie wystawy prac Stowarzyszenia przez J. E. Ks. Biskupa Tymienieckiego.



Pluton zbrojny przysposobienia rezerw ze sztandarem gotuje się do pochodu.

OBCHÓD 25-LECIA POGOTOWIA RATUNKOWEGO W ŁODZI.



Siedzą od lewej do prawej pp.: radny Berman i awnik Bednarczyk, awnik Joel, dr. Pinkus (senior) dwudziestopięcioletni kierownik Pogotowia, prezydent miasta — Cynarski, ks. prefekt Nowicki, naczelnik Wojew. Urzędu Zdrowia — dr. Skalski, awnik Muszyński, nadkomisarz Izydorczyk.

kiem należytego krytycyzmu i na duchowieństwie. Nie jest to winą kapłanów, gdyż nikt ich do tej pory do roli opiekunów zabytków kultury i sztuki nieprzygotował — brakło im naukowego podłoża, brakło też i doświadczenia.

Przyszłość, może niedaleka, zapewne szczęśliwie rozwiąże tę sprawę, kiedy zgodnie z postulatami episkopatu, duchowieństwo po ukończeniu w seminarjum kursu z historii sztuki i archeologii i odbywszy cwi-

czenia praktyczne w dziedzinie konserwatorskiej otrzyma należyte przygotowanie dla opiekunów zabytków kościelnych; kiedy odpowiednio wykształcenie zdobędą także urzędnicy administracyjni, nauczyciele, architekci; kiedy ogół cały, na wzór Zachodu, doceni wartość zabytków przeszłości i otoczy winnym pietyzmem.

Lecz dziś jeszcze tak nie jest. Zabytki giną a ich szczątki z pogromów i burz dziejowych ocalałe, ulegną zagładzie niewatpli-

wie, jeśli natychmiast nie zostaną otoczone należyta opieką. Otoczenie zabytków opieką prawa, jest troską Rządu — od społeczeństwa zależy będzie czy opieka ta wyda pożądané wyniki.

Niestety, pomimo działalności Konserwatorów, Towarzystwa opieki nad zabytkami, Towarzystwa Krajoznawczego itp. instytucji kulturalnych, zamilowanie do zabytków wśród szerszych mas zbyt mało jest rozbudzone.

TEATRALJA.

Nowe pomysły konstrukcji scenicznej. — Rittner w... Berlinie. — „Tamten syn“ — Pirandella. — Co grają w raryżu?

Pisaliśmy już w naszych cotygodniowych kartkach teatralnych o najnowszych pomysłach reformatorów sceny, jak Kieser, Strnad i inni. Ale imię wrogów dzisiejszego realistyczno-psychologicznego teatru jest legion, a ilość ich koncepcji reformatorskich jest — milion. Festival wiedeński był rewią tych sił rewolucyjnych, które, burząc dotychczasowe zasady sztuki teatralnej, więcej plew niż płodnego ziarna rzuciły na rumowiska...

Powiemy dziś parę słów o teatrze „dramatów ruchowych“, którego budownictwem jest niejaki p. Hirschele-Prottsch. Teatr ten zresztą należy traktować raczej jako curiosum i dość interesujący wybrak aberracyjnej nieco pomysłowości konstruktora, aniżeli jako wartość realną, mogącą znaleźć zastosowanie przy przebudowie dotychczasowych form scenicznych.

Teatr „dramatów ruchowych“ Hirschele-Prottscha przeznaczony jest dla mas, a zasadą jego szybkość i ruch. W teatrze tym widownia kręci się ruchem wolniejszym lub szybszym dookoła sceny, a raczej areny. Skrajem tej areny biegnie — tor dla cyklistów, przechodzący w ślimacznice, która dociera aż do kopuły teatru. Scena czy arena widoczna jest poprzez skręty ślimacznicy; specjalna konstrukcja pozwala ustawiać scenę w różne płaszczyzny. U szczytu kopuły teatru urządzona jest — świetlina karuzela. Przedstawienie na tej scenie, według wyjaśnień jej budowniczego, jest koordynacją choru, muzyki, baletu, gry barwnych reflektorów i — kar kołomych popisów cyklisty, wieżdżającego po ślimacznicy aż pod strop teatru. Podczas widowiska karuzela świetlna i widownia muszą się znajdować w ruchu przyspieszonym, a do szybkości ich wirowania przystosowane są: natężenie światła, rytm muzyki, poruszenia taneczne baletu.

Wyobraźmy sobie, że taki „ruchowy dramat (?)“ puszczony został naprawdę w ruch: nie byłoby zapewne ani jednego widza, któryby od tego „dramatycznego“ kręcenia i wirowania, urozmaiconego akrobatycznymi popisami cyklisty, nie dostał zawrotu głowy i innych objawów choroby morskiej. Na szczęście — narazie nic nie słyhać o tem, by gdzieś ktoś budować chciał „teatr“ według modelu p. Hirschele-Prottscha...

Sztuki polskie cieszą się — jak wiadomo — najmniejszym powodzeniem na scenach — polskich. Przez publiczność są bojkotowane, przez kierownictwa teatrów dlatego zapewne negligowane i niedoceniające. Dobrze więc się dzieje, że od czasu do czasu choć tu i ówdzie, na szerokim świecie, pokaże się w jakimś teatrze rzecz polską i nazwisko polskiego autora rozlegnie się głośniejszemu i afiszów i dzienników.

O tem czym są zabytki, przeciętny obywatel nie ma należytego pojęcia; ludzie bardzo nawet inteligentni nie wiedzą często na czem polega wartość zabytku a na sprawy konserwacji zabytków rozbieżne dotąd paują poglądy.

Zabytki — jako dzieła sztuki — wymagają w postępowaniu z nimi, oprócz wiedzy fachowej, oprócz wprawy i doświadczenia, jeszcze specjalnego daru wyczuwania tych subtelności, których opisać i ująć w paragrafy niepodobna.

Problem konserwacji zabytków — to problem w większości wypadków nawskroś artystyczny.

Józef Raciborski.

Ostatnio np. jeden z poważnych teatrów berlińskich wystawił „Wilki w nocy“ Tamten syn Rittnera, o którym w Polsce zbyt często się zapomina. Czyż „Lato“, „W małym domku“, „Wilki w nocy“ nie są warte Bataille'ów, Verneuil'ów, Bernsteinów i Kistemaekersów?! Rittner — to subtelny, cichy uduchowiony poeta ludzkiej tęsknoty za ideałem, którego niemasz na tej padole, — psycholog mądry i wnikliwy, autor sceniczny oryginalny i rasowy, kładąc na dziełach swoich piętno prawdziwego talentu, barwiący je czarem nieprzeciętnego kolorytu. I taki pisarz spychany jest w teatrach polskich w cień, przeważnie na korzyść najrozmaitszej ograniczonej tandety. A Berlin poznał się przecież na Rittnerze i „Wilki w nocy“ przyjął z uznaniem. Najpoważniejsi krytycy berlińscy piszą, że „Rittner był dramaturgiem z urodzenia, wyczuwał kontrasty i umiał je kształtować...“ że „zarys utworu dobrze jest wypełniony, a poetycka idea mieni się kwitnącą i miłą barwą“...



Fern Andra,
jedna z najładniejszych artystek filmowych.

Gdybyśmy tak mogli na scenie łódzkiej ujrzeć o jedną „Szkotkę kokot“ mniej, a wzamian tego specjalu — coś z Rittnera — „Człowieka z budki suflera“, „Lato“ czy „W małym domku“!... Nb. mise en scene Rittnerowskich sztuk jest wcale niekosztowna, coż więc mogłoby stać na przeszkodzie?...

Głośny — Pirandello nie ustaje w twórczości. W Medjolanie wystawiono niedawno jednoaktowy jego dramat p. t. „L'altro figlio“ („Tamten syn“). Tematem tej bardzo naturalistycznej sztuki są dzieje starej żebraczki, opuszczonej przez dwóch synów, którzy wyemigrowali do Ameryki. Żebraczka posiada jeszcze zamężnego trzeciego syna, zamieszkującego w tej samej wiosce; nie chce jednak z jakichś niewytłumaczonych przyczyn przyjmować od niego żadnej pomocy. Tajemnica tej niechęci macierzyńskiej wyjaśnia się w końcu: oto „tamten syn“ zrodził się z uścisku bandyty, który zniwolił bohaterkę dramatu w chwili, gdy inni bandyci mordowali jej męża. Pamięć tego okropnego momentu nie pozwala żebraczce znać trzeciego syna i każe jej zapomnieć o prawach macierzyństwa...

Poważne sukcesy zyskała sobie w Paryżu sztuka A. Macharda p. t. „Croquemi-

taine“ („Strasznydło“), która dostąpiła wielkiego zaszczytu wejścia na repertuar Comédie-Française. Posłuchajmy co mówi o „Strasznydło“ wytrawny krytyk „Revue des deux Mondes“ p. René Doinic.

Wartość sztuki Macharda spoczywa w jej naiwnej prostocie, w jej realizmie. Największymi przyjaciółmi dzieci są ludzie starzy. Ale są ludzie starzy, którzy nie mieli nigdy dzieci i wnuków; jeden z takich starców jest właśnie bohaterem sztuki Macharda. Drobny rentier, p. Benoit, znany jest w całej dzielnicy pod mianem „Strasznydła“, dzięki swej zgryźliwości, mruklivosti i mizantropii. Życie nie miało dlań uśmiechów: p. Benoit ongiś kochał, lecz wybrana jego posłubiła innego. Po niejakiem wszakże czasie rzuciła tego innego dla — trzeciego. Zdradzony rywał p. Benoit ściga pierzchające szczęście małżeńskie, pozostawiając pod opieką „Strasznydła“ swą córeczkę. Wzruszona radość starca i egoizm — w połączeniu z instynktowną kokieterią — dziewczynki, przywykłej do tyranizowania swego otoczenia, — oto jest treść wewnętrzna sztuki, uśmiechniętej, sentymentalnej, to znowu gorzkiej i cierpkiej. Gdy bowiem opuszczony mąż odzyskuje w końcu żonę, zabiera „Strasznydło“ jedyną radość jego życia — dziecko, i p. Benoit pozostaje na resztę dni swoich tylko z nieodstępna towarzyszką — samotnością...

Należy dodać do tej lapidarnej a ścisłej charakterystyki „Strasznydła“ i to jeszcze, że jego autor ze szczególnym upodobaniem i sympatią zajmuje się w swych licznych utworach powieściowych i scenicznych — dziećmi. A ponieważ p. Machard czyni to z talentem i głębszą znajomością psychiki dziecięcej, nie więc dziwnego, że zyskał sobie rozgłos, który go zawiódł aż do Komedji Francuskiej. Najlepsza to reklama dla autora.

B. D.

ŻYCIE.

Człowiek życie przeklina — inny błogosławi.
Jednych rozpieszcza zbytkiem, drugich niedzą dławia,
dusze wzniosłe pograża w codziennosci pyle —
sercem małym układa żywoty motyle,
w pośród kwiatów upojnych i złotego nieba
bez jutra i bez troski o szary kęs chleba.

Płynie ludzkiego życia różnobarwna rzeka...
Ktoś płacze, ktoś się śmieje, ktoś na szczęście czeka...
Komuś źle, komuś dobrze — Ktoś ma kałbzy truste
i brzuch syty a pełny — zato serce puste...
Ktoś ma serce wspaniałe — a pustki w kieszeni.

Różnie bywa na ziemi. Nikt życia nie zmienia.

Czyjeś drobne istnienie zapala się, gaśnie —
Życie pisze dramaty, komedje i baśnie.
Piękne, wielkie, szalone — podite śmierci groza —
życie jest nieobjęte ni wierszem, ni prozą.

Koziolkując jak błazen — ukaże twarz
lżawa —
na przekór filozofji — wszelkim ludzkim prawom,
niewiadome ku jakim brzegom ani wiekom
płynie życie na ziemi — nieskończoną rzeką.

Lucyna z Macherskich Pruszyńska.

H. BRENNERT.

MOJE VIS-A-VIS.

W domu naprzeciw mego okna mieszkanie na drugim piętrze jest od paru miesięcy nie zajete. Ponieważ lubię spędzać wszystkie wolne chwile u okna, irytował mnie widok ciemnych, nieożywionych firanekami szyb, pustego balkonu i nigdy nie oświetlanych pokoi. Gdzież to wyjechali moi sąsiedzi z przeciwka? I czemu tak długo nie powracają?

Pewnego dnia na ciemnych, niemytych szybach naklejono wielkie żółte kartki, obwieszczające przechodniom: „Do wynajęcia”.

Żalowałem spokoju pustych okien — drażniły mnie niewymownie jaskrawe płyty papieru — i wprost nie mogłem oderwać się od mego okna, bojąc się, bym nie przeoczył wchodzącego do domu przyszłego sąsiada.

Ulica, dzieląca domy, tak jest wąska i odludna... Niechby dobre bogi wprowadziły do opuszczonego mieszkania uroczą dziewczynę — niechby siadywała na balkonie, ukwieconym i słonecznym — a byłbym najszczęśliwszy ze śmiertelnych.

Po wielu dniach oczekiwania okna z żółtymi kartkami nagle otworzono — pokojówka gospodarza ukazała się w nich, okrzyknęła parapeły — potem odemknęła drzwi balkonowe — i w nich ukazała się starsza dama, trzymająca na ręku wstrętne małe psisko.

Za nią szeszerzył kły wielki buldog o wyłupiastych oczach, a dwa rozweselone kundły w podskokach badały balkon.

Zgryźliwa jejmość o wyglądzie sufrażystki rozglądała się dokoła, spojrzała w dół, na ulicę — zapewne chcąc się przekonać, że mieszkanie nie leży za wysoko na delikatne łapki piezerkowskiej mości — poczem zwróciła się do pokojówki, mówiąc, o ile jej się zdawało, że jeszcze powróci. Buldog nagle zawył przeraźliwie, a reszta

psiarni zawtórowała, jak na komendę. Ciśnięta uliczka napełniła się krzykami — a ja błagałem los, by wiedźma z psami nie powróciła już nigdy.

Najajutrz wczesnym rankiem dobiegły mnie dzikie wrzaski. Pośpieszyłem na mój posterunek — i zdążyłem zobaczyć, jak barczysty mężczyzna ściągnął z balustrady balkon dwóch niesfornych chłopców i wymierzał im natychmiastową i bolesną sprawiedliwość. Brzydka i niezgrabna jego postać karciała synków potokiem wymyślań, a pokojówka gospodarza przyglądała się tej scenie.

— Panienko! — chciałem krzyknąć — wyproś czempredzej tę rodzinę indjan, bo oszaleje.

W tej chwili pokojówka poruszyła przeczącą głową — nieznajomi zniknęli w głębi mieszkania — a wkrótce obserwowalem z zadowoleniem cały ten waleczny, szczerp wędrujący ulicą w poszukiwaniu osiedla.

Następnego dnia — nowa emocja. Zaje-

„TAMTEN” Gabryeli Zapolskiej w Teatrze Popularnym.



Akt I-Szy: „W knajpie”.

chał samochód — pan o żółtej twarzy i laskowatych nogach wszedł do domu — i znów otworzono okna, i znów pokojówka w białym czepeczku wyprowadziła żółtego pana na balkon. Przybysz stoi w zamyśleniu... wyciąga ręce... przygląda się oknom przeciwnym...

Przebóg! To niezawodnie muzyk! W wielkim pokoju ustawił koncertowy fortepian... Ulica rozbrzmiewać będzie tonami, płynącymi z pod tych kościstych żółtych rak...

Błyskawicznie nakręcam gramofon, zwracam tubę w otwarte okno, puszczam stara, porysowaną płytę: „Kiedy muzyka zagra oberka — oj di di rady, oj di di ra...”. skrzypli bezlitośnie gramofon.

Żółty muzyk drgnął, włożył kapelusz z wielkim rondem — i po chwili unosił go samochód, zostawiając za sobą odór benzyny w powietrzu — a radość w mem sercu.

W południe, w słoneczne, jasne południe słońce we własnej osobie stało na balkonie! Słońce o złotych włosach i pięknym liczku. Słońce, ubrane dla niepoznania w jasny płaszczyk i niebieską czapeczkę.

Słońce rozejrzało się wokół, pokazało



Aleksander Zelwerowicz, filar Teatru Polskiego w Warszawie.

w uśmiechu białe perełki zębów i na krótką przelotną chwilę zatrzymało swe wielkie, cudne oczy na mojej olśnionej postaci, wychylonej z okna...

O, radości!!!

Potem słońce potrząsnęło ręką pokojówki, kiwnęło jej porozumiewawczo główką — i zbiegło na ulicę.

Żółte kartki zostały zdarte...

Okna unyte...

Słońce wynajęło!!!

Od rana czatuję w mem oknie na przybycie Słońca. I oto na balkonie ukazuje się ono, złote i roześmiane, jak wczoraj.

Co to? Czy śnię? Czy urok mnie myli?

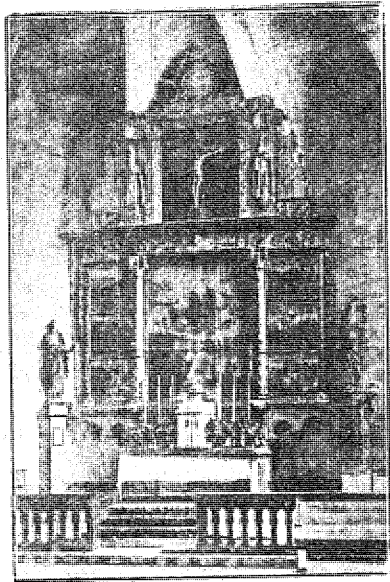
Ze Słońcem na balkonie stoi sufrażystka ze swą psiarnią... I żółty muzyk... I krzykliwa rodzina indjan!

Wychyłam się... Na ulicy wyładowują meble z wozu do przeprowadzki.

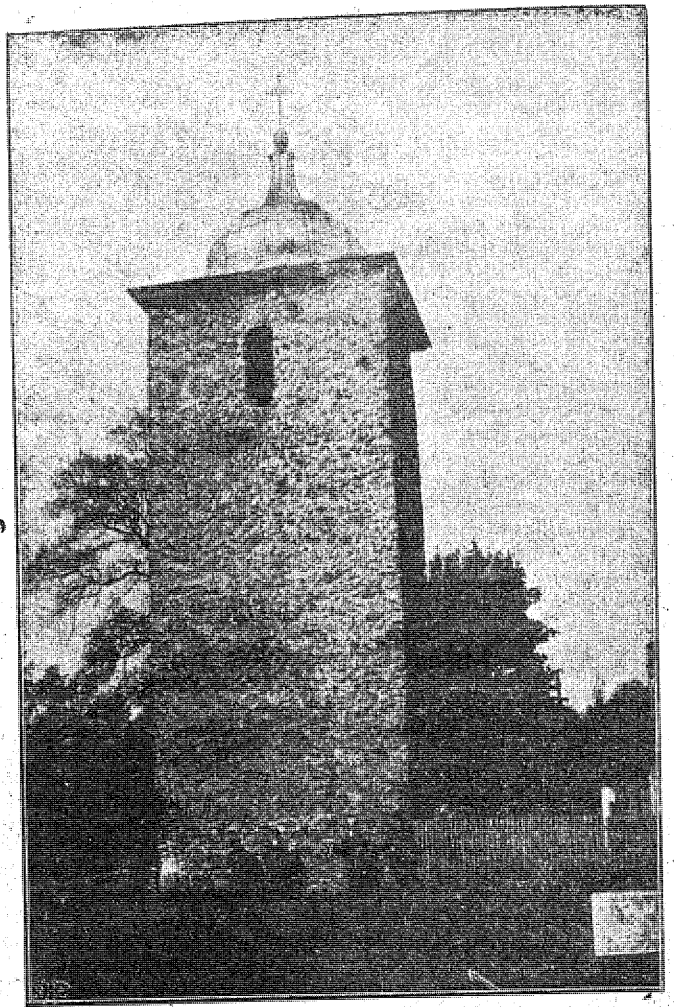
Wnoszą łóżka, łóżeczka, szafy... O, Boże! Tubę gramofonową!

Więc wynajęli... Wszyscy razem wynajęli! Wprowadzają się razem!

To wszystko jedna rodzina — a Słońce jest córka... (Tłum. Ir.)



Tryptyk szkoły staroniemieckiej w kościele parafialnym w Warcie w powiecie Sieradzkim.



Dzwonnica z XIII wieku, fundacji Bolesława Wstyliwego, przy kościele parafialnym w Krzyworzece w powiecie Wieluńskim.

Jak masz ubrać swą główkę, piękna pani.

KAPELUSZE.

Od dawna nie było nam w kapeluszach zimowych tak do twarzy, jak tego roku. Bo też Moda tworzy urocze fasony, a przeznacza na nie materje miękkie i lśniące, dające świetne tło każdej twarzy.

Paune i aksamit lub velpa — oto zasadnicze towary, z których dobieramy sobie czapki, cylinderki i berety.

Ostatnią nowością są małe fasony, zakończone śpiczasto na czubku głowy. To prawie jedyne kapelusze, gdzie panuje filc, usunięty z innych pól popisu. Figlarne znaczenie czubka otrzymujemy przez przeciągnięcie w nacięcia kokardy bądź to z filcu, bądź z wstążki, zdobiącej kapelusz,

albo też umieszczamy pompon z piór strusich, skrzydelka barwnej papugi, egretkę krosów.

Na rysunkach 1, 4 i 6 widzimy dwa filcowe i jeden paune z aksamitem łączony — toczki o wyżej opisanym urozmaiceniu.

Tak zwane „voilette-loup, często z dość gęstej koronki, najgustowniej czarnej lub złotej, chętnie są przez panie noszone. Nadają one oczom tajemniczości — a stroją najskromniejszy nawet kapelusik — jak to na rys. 1 i 4 widzimy.

Berety świecą istne tryumfy. Miękkie, faliste, przylegające — stały się nieodzowne w tym sezonie, i napewno do futra kładziesz, piękna pani, aksamitny niebieski, brązowy lub frez berecik, a do sukni wizytowej możesz sobie — przy innych, ka-



1) Toreczek filcowy beige, na czubku kokarda z filcu, voilette-loup brązowa.



5) Budka w stylu Directoire z czarnej paune — podbita fioletowym jedwabiem. Dwa pompony z wędzy.



4) Czarny filcowy kapelusz z odgiętym rondem. Na czubku pęk czarnych i białych piórek. Czarna voilette-loup.

kapelusze — zrobić wielki czarny aksamitny beret „Wagnerowski“.

W tej dziedzinie istnieje cały szereg odmian — uroczą Colette Darfeuil na rys. 2 nosi z wdziękiem beret o silnym maleńkim rondzie.

Cylinderki znudziły Cię już, wszak prawiada, Pani? — swą sztywnością i jednostajnością.

Więc Moda chce Ci je urozmaicić — i zamienia na zupełnie stylowe budki „Directoire“. Tak wiele zapożyczamy szczegółów z tej epoki, — że nie zawahasz się nad odpowiednim kapeluszem. Widzisz go na rysunku 5 — i łatwo możesz przerobić stary czarny cylinderek. Dodaj, miła pani, duże opuszczone rondko, od spodu kryte pastelowym jedwabiem — na główce większą jakąś ozdobę, lub niedbale opadające strusie pióra — a całość niezawodnie przedstawi się przepięknie.

Podejrzewam Cię, Pani, że chcesz mieć też jakiś kapelusz o fasonie „nieobnoszonym“. Więc zdecyduj się na rys. 3 lub 7.

3 — to mały toczelek z czarnego filcu, a lekko podniesione z jednej strony rondko pokryte jest czerwono-stalową lamą. Przybranie główki oryginalne — uzupełnienie zaś stanowi szal z czarnego sukna i teiż.



3) Model czarny filcowy, rondko pokryte czerwono-stalową lamą. Szal z czarnego sukna i lamy

lamy, wiązany na ramieniu, zakończony chwastem.

Rys. 7 przedstawia coś pośredniego między



2) Piękna Colette Darfeuil nosi beret z brązowego aksamitu



7) Kapelusz z czarnej paune z wysoko upiętym aksamitem bleu de roy — zapinaka z gajalitu

dzy stojącym beretem a hełmem na główce z czarnej paune udrapowany „bleu de roy“ aksamit. Model ten nadaje się szczególnie dla wysokich i smukłych postaci.

Młode panienki z radością przyjęły modę beretów. Poza to noszą t. zw. bounets, czyli kapturki z łączonych haftowanym ściegiem wstążek rypsovych, z maleńkim miękkim rondkiem, wywiniełym na kapelusik. Łączy się też pas zahaftowanej gobelinowo materji i pas wstążki, lub wstążkę z aksamitką w dwóch zgodnych, ale barwnych kolorach.

Maleńkie nasze milusińskie mogą kopiować swe mamusie i paradować w budkach „directoire“ z białego aksamitu, ozdobionych drobnymi różyczkami i zawiązanych pod brodą na wielką kokardę.

Bardzo ładnie wyglądają kapuzy z materiału, z którego sporządzono płaszczki, obramowane futerkiem i barwnie zahaftowane. Można też małej modniśki zrobić filcowy lub aksamitny głęboki toczek, a na czubku główki dać wielki kolorowy pompon — całość uzyskamy wtedy gustowna i zupełnie nie zapowadna.

Pragnę dziś pamiętać nawet o główce przyszłej pięknej pani — dziś z wózka oglądającej świat Boży. Dla niej odpowiednie są tylko białe pluszowe kapuzy, oszyte na brzegu kolorowymi kwiatkami bądź welnianymi szydełkowymi, bądź robionymi z jedwabiu.

A teraz — żegnajcie, piękne panie — spieszę na spacer obejrzeć Was wszystkie w nowych kapeluszach.

Varsovienne.



6) Toczeczek z aksamitu łączonego z paune małe odgięte rondko kokardka z sztywnych piórek

Aleksander Junosza-Olszakowski.

PIEKIELNA PODRÓŻ.

O Boże! Jazdy tej chyba nie zapomnę do końca życia i początku własnej agonji. Proszę nie myśleć przypadkiem, że była to jazda kolejką na drutach lub aeroplanem w czasie najbliższego huraganu podzwrotnikowego. Nie była to również wędrownka Dantego po czeluściach piekielnych — tylko zwyciężajny powrót z Pragi do Warszawy tramwajem warszawskim. A jednak, ktokolwiek używał tego błogosławionego środka lokomocji naszej i to w dodatku w niedzielę, ten pojmie gehennę, jaką musiało przejść grzeszne ciało moje, mąglowane i praśowane, niczem w pierwszorzędnym, warszawskim maglu.

Wsiadło nas troje. Lola, Dziunio i ja. Jeżeli wyrażam się „wsiadło“, nie dowodzi to bynajmniej, ażebyśmy mieli wsiadę

normalnie i spokojnie, jak przystało ludziom dobrze wychowanym. Coprawda także były nasze zamiary, ale zniweczone zostały przez złowrogie fatum konieczności życiowej. Jak tylko zdaleka ujrano zbliżający się tramwaj, wśród publiczności, czekającej na przystanku, wszczął się istny popłoch. Stawano w szereg wzdłuż szyn, potracano się wzajemnie, a powietrze przecinały ostre okrzyki stroskanych ojców i matek, chcących dzieci swe przewieść bezpiecznie na drugi brzeg Wiśły.

— Zbyszek, gdzie jesteś?!

— Jestem tu, mamusiu!

— Trzymaj się mocno mnie, bo cię odepchną i zostaniesz!

— Jadzia! Ach, ta dziewczyna!

— Czego mama krzyczy?

— Józe! Weź ją pod swoją opiekę!

— Niech pani się tak nie pcha! Ja mam dziecko!

— To co z tego? Ja mam troje dzieci!

— Mój panie! Można być trochę lepiej wychowanym! Dlaczego pan odpycha moją żonę?!

— Co pan wirabia? Pan nie poczuje się denerwiwać?!

— Antek, do cholery, pódzi tu!

Takie to rozmówki stanowiły miłą dla oka i ucha uverturę do pierwszego aktu wielkiej opery tramwajowej. Przymawiano sobie wzajemnie, posiłkując się wszystkimi członkami ciała, celem poparcia bardziej intensywnego swoich argumentów. Byli i tacy, którzy, nie bawiąc się w podobne rzeczy, poszli za przykładem Mahometa, a to według przysłowia: „Nie góra do Mahometa, a Mahomet do góry“ i powychodzili z gąszczy ludzkiej na spotkanie tramwaju. Ci byli najśmieszniejsi. Każdy z nich piastował w głębi duszy słodką nadzieję, że pierwszy wskoczy do wagonu i będzie

miał miejsce siedzące. To też chcąc się odpowiednio przygotować do tak doniosłego zwyczajstwa, wznosił ręce do góry i podskakiwał w miejscu, nabierając widocznie rozpędu w nogach. Przy takich niespokojnych piruetach i skokach zdarzało się często, że w jedno i to samo miejsce opadały raptem cztery nogi. Właściciele tych nóg odrywali wówczas wlepiony wzrok swój w błyszczące światelka tramwaju i spoglądali z dziką wściekłością na siebie. Zawiązywał się tedy dialog następujący:

— Mój panie! Czy pan myśli, że nogi moje są trotuarem?

— Wcale tego nie myślę! Ja chcę się dostać do tramwaju!

Tego rodzaju niepokój w nogach ogarniał również publiczność na przystanku. Niepokój jednak zmienił się w jakiś szal nogowy, skoro tramwaj przystanął. Każdy miał złudzenie, że tańczy shimmy australijskie. Kopano się nawzajem, podstawiano sobie nogi, zadzierano je do góry, niczem na boisku sportowym, kiedy rozgrywa się turniej o mistrzostwo świata między Polonią i Makabi. Wybrańcy niebios, którzy pierwsi dostali się na schodki, zostali zatrzymywani przez zazdrosnych następców. Pierwszy szereg wyrwał się rozpaczliwie, drugi stanowczo nie puszczał, a trzeci usiłował po głowach dwóch pierwszych dostać się do środka. Ponieważ jednak Bóg obdarzył ludzi głowami nie poto, ażeby wolno było po nich spacerować dwunogim bliźnim (czworonodzy i więcej są mile widziani), wybuchały więc protesty właścicieli tych głów, które poczuły na sobie ciężar nadprogramowy. Parasolki i laski, jako przedmioty dość kruche, a więc nie odpowiednio do bardziej konkretnego podkreślania swoich zamiarów, nie były puszczone w rękę, natomiast ręce, nogi, brzośki i głowy pracowały w tempie istic amerykańskim.

Ja, w obawie o Lolę, złapałem za niewymawialną część spodni jakiegoś tłuszciocha, który swą osobą zagradzał przejście i usiłowałem spodnie razem z ich właścicielem odciągnąć na bok. Tłuszcioch, będąc w mniemaniu, że zamach na jego czcigodną osobę dokonał stojący obok przedstawiciel semickiego narodu (poznać to było po nosie, który wdzięcznie zawisnął, jak trąba, ponad ustami), otworzył upusty nienawiści aryjskiej. Ten w odpowiedzi począł grozić Ligą Narodów, a tymczasem Lola, wykorzystawszy sytuację, wpełniła się do środka wagonu, za nią ja, a za mną Dziunio. Starcie się świata aryjskiego z semickim zostało zlikwidowane przez nowy szturm publiczności, konduktor szarpnął za dzwonek, motorniczy zakręcił korbą i tramwaj ruszył.

Było ciasno. Właściwie w tym czasie zauważyłem, że wyraz „ciasno“ niezupełnie ściśle maluje położenie personalne pasażerów w tramwaju warszawskim. „Ciasno“! O słowo marne i nikczemne! Jakże podle ilustrujesz i jak słabym jest twój dźwięk! Choćbyśmy wzięli największych mistrzów słowa polskiego — żaden z nich z pewnością nie wydobylby z głębi swojej mistrzowskiej duszy wyrazu, który

mógłby odtworzyć prawdziwe zarysy naszego położenia.

Stałem, mając dla siebie przeznaczone miejsce równające się czterem całom kwadratowym. Ponieważ buty moje wymagały zwykle cokolwiek większej przestrzeni, więc stałem na jednej nodze i to niezupełnie, bowiem wspinałem się na palcach. Oparty o ramę okienną, byłem jedyną podporą dwóch ciał. Wyrażam się w ten sposób, ponieważ dusze w tych ciałach pomdlały wskutek szturmu na przystanku i obecnie leżały na mnie bezwładnie (t. j. ciała razem z duszami). Los umie płatać złe figle, a mnie w szczególności. Żeby te ciała należały do nadobnych pensjonerek lub studentek — stanowczo nie miałbym nic przeciwko temu. Tymczasem jednak było inaczej: jedno należało do jakiejś baby tęgiej, spoconej i cuchnącej, drugie do pana, ubranego bardzo smętnie. Miałem wrażenie, że jest to urzędnik państwowy, bo był przeraźliwie chudy.

Lola siedziała obok mnie pod oknem, a Dziunio stał w przejściu między pasażerami. Wesoły to był chłopak i zawsze musiał sobie wynaleźć zabawę. Korzystając tedy z tego, że tramwaj na przystankach zatrzymywał się raptownie i publiczność, jak kłosa zbożowe pod wiatru podmuchem (wyrażając się stylem poetycznym) chyliła się, tracąc równowagę w nogach i kładła się, sobie wzajem na plecy, bez pardonu przykładał swą długą postać do jakiejś pięknej pani, stojącej przed nim. Atakowana w ten sposób przedstawicielka płci pięknej, odwracała głowę i próżnie spoglądała na Dziunia. Ten w odpowiedzi prostował natychmiast kregosłup i, przykładając rękę do piersi (swojej), zapewniał żarliwym szeptem:

— To nie ja, to tramwaj!

Usłyszawszy to, piękna pani wydymała pogardliwie usteczka i cedziła:

— Właśnie!..

Co miało oznaczać to „właśnie“, pozostało dotąd dla mnie tajemnicą.

Był przy tem również jakiś pan, który się dość ostro przypatrywał Dziuniowi. Na pierwszy rzut oka poznałem, że to maż tej pani. Stał on tuż za Dziuniem. Z chwila, kiedy tramwaj ruszył, Dziunio pochylał się w tył i wdzięcznie padał w objęcia tego pana. Następowala krótka, niema scena dezorientacji, przeprosiny, sucha odpowiedź: „nic nie szkodzi“, poczem Dziunio starał się nadać swemu ciału poprzednią pozycję. Skoro mu się to udało, czekał z błogosławionym uśmiechem na następny przystanek, ażeby z kolei pochylić się naprzód. Pochylenia te niebardzo widać przypadały do gustu temu panu, bowiem chrząknął i rzekł:

— Mój panie! Jak widzę, to pan jest bardzo słaby w nogach!

Dziunio spojrział na niego omdlewająco.

— Przecież nie na pana teraz padłem, a na tę panią!

— Właśnie dlatego..

— Niech pan się nie boi! Przyjdzie i na pana zaszczyt trzymania mnie w objęciach. Tramwaj już rusza. O, widzi pan! Hop, niech pan mnie trzyma!

Cóż było robić z tym chłopakiem? Wściekły maż chwycił go natychmiast i prostował zajadłe po to, ażeby przy następnym przystanku Dziunio znów mu się kładł na żonę.

Jechaliśmy tymczasem dalej i kres naszej podróży był już niedaleko. Przytomny i przezorny warszawiak zwykle na pięć przystanków przed celem podróży przepycha się przez tłum z szybkością zdechłego zółwia. Mając to na względzie, poczyniłem nieśmiało usiłowania przebicia się przez gestwę ciał ludzkich ku wyjściu. Z wielkim trudem, ciągnąc za sobą Lolę i Dziunia, który miał ochotę jechać dalej ze względów, jak twierdził natury strategicznej, wyostałem się z wagonu, niczem Dante z piekła.

—:—

Z E S P O R T U



Łódzki Klub Żandarmerji.